

CAITLÍN R. KIERNAN

Tonąca dziewczyna. Pamiętnik
(fragment)

1

„To będzie historia o duchach”, napisała.

„Historia o duchach, w której wystąpią syrena i wilk”, napisała dalej.

Ja napisałam.

Nazywam się India Morgan Phelps, choć niemal wszyscy znajomi mówią na mnie Imp.
Mieszkam w Providence, Rhode Island, a kiedy miałam siedemnaście lat, moja matka zmarła w

Szpitalu Butlera, stojącym przy Blackstone Boulevard, tuż obok cmentarza Swan Point, gdzie pochowano wiele znanych osobistości. Kiedyś ośrodek ten nosił nazwę „Szpital Butlera dla Umysłowo Chorych”, ale gdzieś po drodze to „dla umysłowo chorych” zniknęło. Może szkodziło w interesach. Może lekarze, dyrektorzy, członkowie rady nadzorczej czy ktokolwiek tam podejmuje decyzje w takich kwestiach, uznali, że szaleńcy woleliby raczej, by nie umieszczano ich w domu dla wariatów, który śmie otwarcie nazywać się domem wariatów. Prawda w reklamie bywa szkodliwa. Nie wiem, ale moja matka, Rosemary Anne, została umieszczona w Szpitalu Butlera, ponieważ była umysłowo chora, i zmarła tam w wieku pięćdziesięciu sześciu lat, zamiast umrzeć gdzie indziej, bo była szalona. Nie w tym rzecz, że o tym nie wiedziała, podobnie jak ja, gdyby więc ktoś chciał znać moje zdanie, usunięcie „dla umysłowo chorych” to jak usunięcie burgera z Burger Kinga, bo hamburgery szkodzą bardziej niż sałatki. Albo skreślenie „donutów” z nazwy Dunkin’ Donuts, bo powodują one próchnicę i otyłość.

Moja babcia Caroline – matka matki, która przyszła na świat w 1914 roku i straciła męża w drugiej wojnie światowej – również była szalona, ale umarła we własnym łóżku, w swoim domu w Wakefield. Nikt nie zamknął jej w szpitalu ani nie próbował nawet udawać, że nie jest wariatką. Może, kiedy człowiek zaczyna się starzeć, ludzie przestają zwracać na to uwagę? Caroline odkręciła gaz, pozamykała wszystkie okna i drzwi, i zasnęła; w liście samobójczym podziękowała mojej matce i ciotkom za to, że nie odesłały jej do ośrodka dla psychicznie chorych, gdzie zmuszono by ją do życia, nawet kiedy nie mogła już go dłużej znieść. To znaczy, życia. Albo obłądu. Albo jednego i drugiego.

O ironio, to właśnie moje ciotki doprowadziły do zamknięcia matki w szpitalu. Przypuszczam, że ojciec sam by to zrobił, tyle że odszedł, kiedy skończyłam dziesięć lat, i nikt nie miał pojęcia, gdzie zniknął. Zostawił matkę, bo była szalona, toteż lubię myśleć, że po odejściu od nas nie żył długo. W dzieciństwie często leżałam w łóżku, nie mogąc zasnąć, i wyobrażałam sobie najróżniejsze okropne śmierci, jakie mogły spotkać mojego ojca, sprawiedliwą zapłatę za to, że nas porzucił i uciekł, bo był zbyt wielkim tchórzem, by wytrwać przy mnie i mojej matce. W pewnym momencie sporządziłam nawet listę co nieprzyjemniejszych możliwych zgonów. Schowałam ją w notatniku, a notatnik w starej walizce pod łóżkiem, bo nie chciałam, żeby matka ją znalazła. „Mam nadzieję, że mój ojciec umarł na chorobę weneryczną po tym, jak jego fiut zgnił i odpadł” zaczynało tę listę, a potem następowała cała seria bardziej oczywistych śmierci – wypadki samochodowe, zatrucia, rak – z czasem jednak stałam się bardziej pomysłowa i ostatnią pozycją na liście (numer 316) było: „Mam nadzieję, że ojciec postradał zmysły i skonał samotny i przerażony”. Nadal mam ten notatnik, teraz jednak leży na półce, a nie ukryty w starej walizce.

No i tak. Moja matka, Rosemary Anne, zmarła w Szpitalu Butlera. Popęłniła w nim samobójstwo, choć w owym czasie specjalnie jej pilnowano. Leżała w łóżku, skrępowana pasami, a

w pokoju umieszczono kamerę wideo. A jednak jej się udało. Zdołała połknąć własny język i zadławić się na śmierć, nim ktokolwiek z siostr bądź pielęgniarzy zorientował się, co się święci. W akcie zgonu zapisano „śmierć z powodu konwulsji”, ale wiem, że nie to ją spotkało. Zbyt wiele razy powtarzała mi podczas odwiedzin, że pragnie umrzeć, a ja zwykle mówiłam, że wolałabym, by przeżyła, wydobrzała i wróciła do domu, ale nie będę zła, jeśli naprawdę musi to zrobić, jeśli musi umrzeć. Jeżeli nadejdzie taki dzień bądź noc, gdy po prostu nie będzie mogła już dłużej wytrzymać. Odparła, że jej przykro, ale cieszy się, że rozumiem, jest wdzięczna, że rozumiem. Przynosiłam jej słodycze, papierosy i książki, i rozmawiałyśmy o Anne Sexton, Diane Arbus i o Virginii Woolf, która napełniła kieszenie kamieniami i weszła do rzeki Ouse. Nigdy nie wspomniałam lekarzom Rosemary o tych rozmowach. Nie opowiedziałam im także, jak miesiąc przed tym, nim zadławiła się własnym językiem, wręczyła mi liścik, w którym parafrazowała list samobójczy Virginii Woolf: „Chcę przez to powiedzieć, że całe szczęście mojego życia zawdzięczam tobie. Byłaś wobec mnie niewiarygodnie cierpliwa i niewiarygodnie dobra. Chcę powiedzieć, że wszyscy to wiedzą. I jeśli ktokolwiek mógł mnie ocalić, to ty. Straciłam już wszystko, prócz pewności twojej dobroci”. Przypięłam ten list pinezką do ściany w pokoju, w którym maluję – można chyba nazwać go moją pracownią, choć zazwyczaj myślę o nim jako o pokoju, w którym maluję.

Dopiero parę lat po śmierci Rosemary zorientowałam się, że ja także jestem szalona i że zawsze taka byłam. To mit, że wariaci nie mają pojęcia o własnym obłędzie. Wielu z nas radzi sobie z przebłyskami i introspekcjami równie dobrze jak zwykli ludzie, może nawet lepiej.

Przypuszczam, że poświęcamy znacznie więcej czasu niż ludzie zdrowi rozważaniom na temat naszych myśli. Mimo to po prostu nie przyszło mi do głowy, że mój sposób postrzegania świata oznacza, że odziedziczyłam „Klątwę Rodziny Phelpsów” (by zacytować moją ciotkę Elaine, która ma talent do wymyślania dramatycznych określeń). Kiedy w końcu dotarło do mnie, że nie jestem normalna, umówiłam się z terapeutką w szpitalu Rhode Island. Zapłaciłam jej kupę kasy i rozmawiałyśmy (to znaczy, głównie ja mówiłam, a ona słuchała), a w szpitalu przeprowadzili serię badań. Po wszystkim lekarz psychiatra oznajmiła, że cierpię na schizofrenię zdeorganizowaną, zwaną także hebefrenią, od imienia Hebe, greckiej bogini młodości. Tego ostatniego już mi nie powiedziała; sama to sprawdziłam. Hebefrenia nosi imię greckiej bogini młodości, bo zazwyczaj pojawia się w okresie dojrzewania. Nie chciałam nawet mówić, że jeśli sposób, w jaki myślę i postrzegam świat, oznacza, że jestem schizofreniczką, to obłęd zaczął się znacznie wcześniej. W każdym razie potem, po kolejnych badaniach, diagnozę zmieniono na schizofrenię paranoidalną, której nie nazwano imieniem żadnych greckich bogów, ani w ogóle jakichkolwiek znanych mi bóstw.

Doktor psychiatra, kobieta z Bostonu, Magdalene Ogilvy – które to nazwisko zawsze kojarzy mi się z Edwardem Goreyem albo powieścią P.G. Wodehouse’a – niezwykle zainteresowała

się Kłątą Rodziny Phelpsów, bo, jak twierdziła, istnieją dowody świadczące o tym, że schizofrenia może być chorobą dziedziczną, przynajmniej w niektórych przypadkach. Zatem proszę. Jestem wariatką, bo Rosemary była wariatką i miała dziecko, a Rosemary była wariatką, bo moja babcia była wariatką i miała dziecko (no, tak naprawdę kilkoro, ale tylko Rosemary się poszczęściło i odziedziczyła kłątę). Powtórzyłam doktor Ogilvy historie, które opowiadała mi babcia o siostrze swojej matki, także noszącej imię Caroline. Według babci, Caroline przechowywała martwe ptaki i myszy w szczelnie zamykanych szklanych słojach ustawianych na wszystkich parapetach. Na każdym z nich umieszczała etykietę z cytatem z Biblii. Dodałam, że podejrzewałam, że cioteczna prababcia Caroline była jedynie głęboko zainteresowana historią naturalną, gdyby nie te kawałki z Biblii. Z drugiej strony, możliwe, że próbowała stworzyć coś w rodzaju konkordancji, łącząc poszczególne gatunki z Pismem Świętym. Lecz doktor Ogilvy odparła, że nie, najpewniej ona także była schizofreniczką. Nie spierałam się. Rzadko mam ochotę z kimkolwiek się spierać.

Mam zatem w domu bursztynowe fiołki z pigułkami, farmakopeję, na której zazwyczaj mogę polegać, środki antypsychotyczne i uspokajające, nawet w połowie nie tak ciekawe jak flaszczyki z myszami i wróblami, należące do ciotecznej prababci. Biorę risperdal, depakene i valium, i jak dotąd ani razu nie trafiłam do Szpitala Butlera, i tylko próbowałam się zabić. I to zaledwie raz. Czy może dwa. Może zawdzięczam to lekom, a może swojemu malarstwu, albo może malarstwu i temu, że moja dziewczyna wytrzymuje wszystkie schizy i pilnuje, żebym łykała pigułki, a do tego jest świetna w łóżku. Może matka zabawiłaby na tym świecie trochę dłużej, gdyby od czasu do czasu z kimś się bzyknęła. Z tego, co mi wiadomo, nikt jeszcze nie proponował terapii seksualnej w leczeniu schizofrenii. Ale przynajmniej po pieprzeniu nie mam zaparć ani nie trzęsą mi się ręce – dzięki, panie Risperdal – ani nie przybieram na wadze, nie męczę się i nie dostaję trądziku – wielkie dzięki, panie Depakene. O wszystkich moich lekach myślę jak o mężczyznach, którego to faktu nie ujawniłam jeszcze lekarce. Mam przecucie, że przypisałyby mi zbyt wielkie znaczenie, zwłaszcza że wie już o mojej liście „Jak tato powinien zdechnąć”.

Przypadki obłądu w rodzinie następują po sobie kolejno, jak wagony w pociągu: babka, córka, córka córki, i do tego wszystkiego jeszcze cioteczna prababcia. Być może kłątwa sięga dalej, ale nie interesuję się genealogią. Nie wiem, jakie sekrety skrywały w sercach i zabrały ze sobą do grobu moje praprababci i prapraprababci, i nie wnिकam w to. Właściwie żałuję nawet, że nie potraktowałam tak samo Rosemary Anne i Caroline. Ale stanowią zbyt ważną część mojej historii i by ją opowiedzieć, muszę się do nich odwoływać. Zapewne mogłabym opisać ich wymyślone wersje, fikcyjne awatary, zastępujące prawdziwe kobiety, ale znałam obie wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że żadna z nich by tego nie chciała. Nie zdołałabym opowiedzieć mojej historii, a przynajmniej tych jej części, które zamierzam próbować opisać, nie wspominając także o ich życiu.

Zbyt mocno na siebie zachodzą, zbyt wiele wydarzeń zostało zapoczątkowanych przez jedną z nich, świadomie bądź nie, i nie ma sensu w ogóle zabierać się do pracy, jeśli miałabym tworzyć tylko kłamstwa.

Co nie oznacza bynajmniej, że każde słowo będzie odpowiadało faktom. Jedynie, że będzie prawdziwe. A przynajmniej tak prawdziwe, jak potrafię.

Oto coś, co nabazgrałam na obu stronach serwetki w barze kawowym parę dni temu: „Żadna historia nie ma początku, żadna historia nie ma końca. Początki i końce można wymyślić, by służyły jakiemuś celowi, chwilowym, ulotnym zamiarom, lecz ze swej fundamentalnej natury są czymś arbitralnym i istnieją wyłącznie jako wygodna konstrukcja ludzkiego umysłu. Życia ludzkie są chaotyczne i kiedy próbujemy je opisać – albo choć część z nich – nie możemy nawet odnaleźć dokładnych i obiektywnych chwil, w których zaczyna się jakiekolwiek wydarzenie. Wszystkie początki są arbitralne”.

Zanim to napisałam i uznałam, że to prawda, wchodziłam do tego pokoju (innego niż pokój, w którym maluję, zastawionego zbyt wielką liczbą regałów z książkami) i siadałam przed mechaniczną maszyną do pisania, należąca kiedyś do babci Caroline. Ściany tego pokoju są pomalowane na odcień błękitu, tak jasny, że czasem w promieniach słońca wydają się niemal białe. Siadałam tam i wpatrywałam się w błękitnobiałe ściany albo wyglądałam przez okno na inne stare domy, stojące w równym rzędzie wzdłuż Willow Street. Wiktoriańskie kamienice, jesienne drzewa i szare chodniki oraz przejeżdżające od czasu do czasu samochody. Siedziałam tam i próbowałam wymyślić, od jakiego miejsca rozpocząć tę historię. Tkwiłam w tym fotelu całymi godzinami i nie napisałam nawet jednego słowa. Teraz jednak znalazłam swój początek, choć arbitralny, i wydaje mi się najwłaściwszy ze wszystkich możliwych początków. Uznałam, iż uczciwie będzie od razu załatwić kwestię obłędu, coś jakby ostrzeżenie, żeby każdy, kto będzie kiedyś czytał tę historię, wiedział, że musi do niej podejść z pewnym dystansem.

A teraz, równie arbitralnie, zamierzam opisać pierwszy raz, gdy ujrzałam „Tonącą dziewczynę”.

Na jedenaste urodziny matka zaprowadziła mnie do muzeum w Rhode Island School of Design. Zdradziłam jej, że chcę zostać malarką, toteż w tym roku kupiła mi na urodziny komplet farb akrylowych, pędzle, drewnianą paletę i sztalugi, zabrała mnie też do muzeum. I, jak mówiłam, tego dnia po raz pierwszy ujrzałam obraz. Dziś „Tonąca dziewczyna” wisi znacznie bliżej wejścia od Benefit Street, niż kiedy byłam mała. Płótno oprawiono w misternie rzeźbioną złożoną ramę – taką samą, jak inne w tej części muzeum, niewielkiej galerii poświęconej dziewiętnastowiecznemu malarstwu amerykańskiemu. „Tonąca dziewczyna” mierzy dziewiętnaście na dwadzieścia cztery cale. Wisi pomiędzy „Zachodem słońca w Arktyce” Williama Bradforda (1874) a „Od zawietrznej” Winsłowa Homera (1900). Ściany galerii mają jednolitą, ciemnooliwkowozieloną barwę, która

według mnie sprawia, że antyczne złote ramy wydają się nieco mniej krzykliwe niż powinny.

„Tonącą dziewczynę” namalował w 1898 artysta z Bostonu, Phillip George Saltonstall. Niemal nikt o nim nie pisał. Zazwyczaj zalicza się go do symbolistów, choć w pewnym artykule nazwano go „późnym amerykańskim uczniem Bractwa Prerafaelitów”. Rzadko sprzedawał, czy nawet wystawiał swoje obrazy, a w ostatnim roku życia w ciągu jednej nocy spalił ich nawet pięćdziesiąt. Większość z nielicznych, które przetrwały, można znaleźć w Nowej Anglii, w prywatnych zbiorach i muzeach sztuki. Jeden wisi też w Muzeum Sztuki Hrabstwa Los Angeles, inny w Atlanta High Museum. Saltonstall cierpiał na ataki padaczkowe, bezsenność i chroniczną depresję; zmarł w 1907 w wieku trzydziestu dziewięciu lat po upadku z konia. Nigdzie nie czytałam, czy na pewno był to wypadek, ale pewnie tak. Mogłabym uznać go za samobójstwo, ale nie jestem obiektywna i byłyby to wyłącznie domysły.

Co do samego obrazu, „Tonąca dziewczyna” została oddana głównie w posępnych odcieniach zieleni i szarości (dzięki czemu idealnie pasuje do owych oliwkowych ścian, na których ją zawieszono), choć z kilkoma kontrastowymi kontrastami – stłumioną żółcią, przebłyskami - brudnej bieli, fragmentami, w których zielenie i szarości znikają w plamach czerni. Przedstawia młodą dziewczynę, zupełnie nagą, na oko tuż po dwudziestce, lecz może młodszą. Dziewczyna stoi zanurzona po kostki w leśnym stawie, niemal tak gładkim jak szkło. Drzewa napierają na brzeg tuż za jej plecami, a ona odwraca od nas głowę, spoglądając przez prawe ramię w głąb lasu, ku cieniom zalegającym pod i pomiędzy drzewami. Jej długie włosy mają niemal ten sam odcień zieleni, co woda, skórę malarz oddał tak, że wydaje się paradoksalnie niemal żółta, promieniująca wewnętrznym blaskiem. Dziewczyna stoi bardzo blisko brzegu, dokoła jej stóp na wodzie rozchodzą się zmarszczki, co według mnie oznacza, że dopiero co weszła do stawu.

Napisałam „stawu”, lecz jak się okazuje, obraz zainspirowały odwiedziny Saltonstalla nad rzeką Blackstone w południowym Massachusetts pod koniec lata 1894. W pobliskim Uxbridge mieszkała jego rodzina, w tym kuzynka ze strony ojca, Mary Farnum, w której podobno się kochał (nie ma dowodów, by uczucie to zostało odwzajemnione). Niektórzy krytycy uważają, że dziewczyną z obrazu miała być Mary, ale jeśli tak, to artysta nigdy nie wspomniał o tym ani słowem, a jeżeli wspomniał, nigdzie tego nie zapisano. Pisał natomiast, że obraz zaczął swe życie jako seria studiów krajobrazowych tamy Rolling (znanej także jako tama Roaring, zbudowana w 1886). Tuż nad tamą rzeka tworzy zbiornik, niegdyś służący młynom z Blackstone Manufacturing Company. Woda jest spokojna i głęboka, stanowiąca ostry kontrast z bystrzynami pod tamą, gdzie rwie między stromymi granitowymi ścianami wąwozu Blackstone, miejscami sięgającymi osiemdziesięciu stóp wysokości.

Tytuł obrazu często wydawał mi się dziwny. Ostatecznie dziewczyna wcale nie tonie, jedynie brodzi w wodzie. Mimo to na obrazie Saltonstalla można wyczuć niewątpliwą atmosferę

zagrożenia. Być może sprawia to cienisty las wznoszący się za plecami dziewczyny oraz/albo sugestia, że coś ukrytego między drzewami przyciągnęło jej uwagę. Może był to trzask złamanej gałązki albo szelest liści pod stopami? Albo głos. Czy cokolwiek innego.

Coraz bardziej pojmuję to, w jaki sposób historia Saltonstalla i „Tonącej dziewczyny” stanowi integralną część mojej historii – tak samo jak Rosemary Anne i Caroline – chociaż bynajmniej nie twierdzę, że stała się ona prawdziwym początkiem łańcucha wydarzeń. Nie w sensie obiektywnym. Bo gdyby nawet, od razu nasuwałoby się pytanie: czy początkiem była chwila, gdy po raz pierwszy spojrzałam na obraz w swe jedenaste urodziny, czy też dzień, w którym Saltonstall stworzył go w 1898 roku? A może lepiej zacząć od budowy tamy w 1886 roku? Odruchowo wciąż szukam tego typu początku, choć dobrze wiem, że to nie ma sensu. Choć świetnie zdaję sobie sprawę, że w ten sposób otrzymam tylko nieskończoną w gruncie rzeczy serię bezużytecznych regresji.

Tego dnia w sierpniu, wiele lat temu, „Tonąca dziewczyna” wisiała w innej galerii, w sali poświęconej miejscowym malarzom i rzeźbiarzom, głównie – choć nie wyłącznie – pochodzącym z Rhode Island. Matkę bolały stopy, siedziałyśmy na ławce pośrodku sali, gdy zauważyłam obraz. Pamiętam to bardzo wyraźnie, choć reszta dnia zamazała się w pamięci. Podczas gdy Rosemary siedziała na ławce, dając odpocząć obolałym nogom, ja stałam zapatrzona w płótno Saltonstalla. Tyle że miałam wrażenie, że spoglądam w głąb płótna, zupełnie jak w maleńkie okno, wychodzące na lekko rozmyty, szarzielony świat. Jestem niemal pewna, że był to pierwszy obraz (czy jakkolwiek dwuwymiarowy wizerunek), który wywarł na mnie podobne wrażenie. Złudzenie głębi okazało się tak silne, że uniosłam prawą rękę i przycisnęłam palce do płótna. Naprawdę spodziewałam się, że przenikną na drugą stronę, sięgając w dzień i miejsce wizerunku. Wówczas Rosemary zauważyła, że go dotykam, i kazała mi przestać, dodając, że to wbrew przepisom muzealnym, toteż cofnęłam rękę.

– Dlaczego? – spytałam, a ona odparła, że ludzkie dłonie pokrywa cienka warstewka olejów i kwasów, które mogłyby uszkodzić stary obraz, dodała też, że kiedy pracownicy muzeum muszą dotykać płócien, wkładają dla ochrony białe bawełniane rękawiczki. Zerknęłam na własne palce, zastanawiając się, co jeszcze mogłabym uszkodzić dotykiem, a także, czy kwasy i oleje przesiąkające przez skórę pouszkadzały mi bez mej wiedzy najróżniejsze narządy wewnątrz ciała.

– Poza tym, co ty sobie myślałaś? Czemu go dotknęłaś?

Wyjaśniłam, że obraz wydał mi się oknem, a ona roześmiała się i zażądała, bym podała jej tytuł obrazu, nazwisko artysty i rok powstania płótna. Wszystko to wydrukowano na karteczce przyklepionej do ściany obok ramy i odczytałam ją. Rosemary Anne zapisała to na kopercie, którą wyciągnęła z torby. Zawsze nosiła wielkie, bezkształtne torby z materiału, które sama szyła, pękające w szwach od różności, począwszy od książek, poprzez kosmetyki, aż po rachunki i

paragony ze sklepu spożywczego (których nigdy nie wyrzucała). Po jej śmierci zatrzymałam parę owych toreb i wciąż ich używam, choć nie wydaje mi się, by znalazła się wśród nich ta, którą miała przy sobie owego dnia. Uszyła ją z denimu, a ja nie przepadam za tym materiałem. Nawet dzinsy noszę bardzo rzadko.

– Po co to zapisujesz?

– Może któregoś dnia zechcesz sobie przypomnieć – odparła. – Kiedy coś wywiera na nas tak silne wrażenie, powinniśmy dołożyć wszelkich starań, by o tym nie zapomnieć. Dobrze zatem sporządzić notatki.

– Ale skąd mam wiedzieć, co mogłabym chcieć zapamiętać, a czego nie będę chciała sobie przypomnieć?

– Ach, to właśnie jest najtrudniejsze. – Rosemary przez moment obgryzała paznokieć kciuka. – To najtrudniejsze ze wszystkiego. Bo oczywiście nie powinniśmy tracić czasu na notowanie wszystkiego, co nas spotyka, prawda?

– Oczywiście, że nie. – Cofnęłam się od obrazu, nie odrywając od niego wzroku. Choć nie okazał się oknem, nie stracił wcale przez to na urodzie i wyjątkowości. – To przecież byłoby strasznie niemądre.

– To byłoby strasznie niemądre, Imp. Marnowalibyśmy tak wiele czasu, starając się nie zapomnieć niczego, że nigdy nie spotykałoby nas nic wartego zapamiętania.

– Trzeba zatem być ostrożnym – mruknęłam.

– Właśnie – zgodziła się.

Nie pamiętam nic więcej z owych urodzin. Tylko prezenty, wycieczkę do RISD, i Rosemary mówiącą, że powinnam zapisywać to, co pewnego dnia może okazać się dla mnie ważne. Po zwiedzeniu muzeum musiałyśmy wrócić do domu. Na pewno był też tort lodowy, bo zawsze taki robiła, aż do tego roku, gdy trafiła do szpitala. Ale nie przyjęcie, bo nigdy nie urządziła mi przyjęć urodzinowych. Nigdy też ich nie chciałam. Wyszłyśmy z muzeum, minął dzień i nadeszła północ, i nie miałam już urodzin aż do dnia, gdy skończyłam dwanaście lat. Wczoraj sprawdziłam w kalendarzu w sieci; poinformował mnie, że następnego dnia, trzeciego sierpnia, przypadała niedziela, ale nie mówi mi to zbyt wiele. Nigdy nie chodziłyśmy na msze, bo matka odeszła z Kościoła rzymskokatolickiego i zawsze powtarzała, że lepiej, bym się trzymała z daleka od katolicyzmu, choćby po to, by oszczędzić mi trudu ostatecznego odejścia.

– Nie wierzymy w Boga? – mogłam ją spytać w pewnym momencie.

– Ja nie wierzę w Boga, Imp. To, w co ty wierzysz, zależy od ciebie. Musisz uważać i sama do tego dojść. Ja tego za ciebie nie zrobię.

O ile, oczywiście, w ogóle doszło do takiej rozmowy. Tak mi się wydaje, jestem niemal pewna, ale wiele z moich wspomnień jest fałszywych, toteż nigdy nie mam pewności, w taką czy

inną stronę. Mnóstwo najciekawszych wspomnień najwyraźniej nigdy nie miało podstaw. Po tym, jak zamknęli Rosemary u Butlera, a ja zamieszkałam z ciotką Elaine w Cranston, i zostałam tam, póki nie skończyłam osiemnastu lat, zaczęłam prowadzić dziennik, ale nawet jemu nie mogę ufać. Na przykład, znalazłam całą serię wpisów dotyczących wyprawy do Nowego Brunswiku, która – jestem niemal pewna – nigdy się nie wydarzyła. Kiedyś wspomnienia owych sytuacji, które nie istniały, mnie przerażały, ale stopniowo do nich przywykłam. I nie dochodzi do nich tak często jak kiedyś.

„To będzie historia o duchach”, napisała, i ją właśnie tworzę. Napisałam już o duchach mojej babki, matki, i siostry prababki, tej, która przechowywała w słojach martwe zwierzęta opisane cytatami z Pisma Świętego. Kobiety te są już teraz jedynie duchami i nawiedzają mnie, tak jak inne duchy, o których dopiero napiszę. Tak jak widmo szpitala Butlera, stojącego obok cmentarza Swan Point. Tak jak zaginiony ojciec. Jednakże przede wszystkim nawiedza mnie „Tonąca dziewczyna” Phillipa George’a Saltonstalla, którą z pewnością bym sobie przypomniawsza, nawet gdyby matka nie zadała sobie owego dnia trudu i nie zapisała notatki na kopercie.

Duchy to wspomnienia, które są zbyt silne, by dały się zapomnieć na dobre, powracające echem poprzez lata i niedające się rozmyć strumieniowi czasu. Nie przypuszczam, by Saltonstall, kiedy malował „Tonącą dziewczynę” niemal sto lat przed tym, nim ujrzałam ją po raz pierwszy, zastanowił się choć przez chwilę nad wszystkimi ludźmi, których mogłaby nawiedzać. To zresztą kolejna cecha duchów, i to bardzo ważna – trzeba uważać, bo nawiedzenia są zaraźliwe.

Nawiedzenia to memy, zgubne zwłaszcza w przypadku zarażenia, społeczne choroby niepotrzebujące nosiciela w postaci bakterii czy wirusa i przekazywane na tysiące różnych sposobów. To może być książka, wiersz, piosenka, bajka na dobranoc, samobójstwo babki, układ tańca, kilka klatek filmu, diagnoza schizofrenii, śmiertelny upadek z konia, wyblakłe zdjęcie, albo historia, którą opowiadamy córce.

Albo obraz wiszący na ścianie.

Jestem niemal pewna, że Saltonstall próbował w istocie jedynie pozbyć się własnych duchów, gdy malował nagą kobietę stojącą w wodzie na tle lasu. Zbyt często ludzie popełniają błąd, próbując posłużyć się swą sztuką, by uchwycić ducha, a zamiast tego jedynie zarażają nim niezliczone osoby. Zatem Saltonstall udał się nad rzekę Blackstone i zobaczył tam coś – coś, co się tam stało, co nie dawało mu spokoju. Później próbował przegnać to wspomnienie w jedyny znany mu sposób – malując. Prowokując ten mem, nie kierował się złościwością, tylko desperacją. Czasami nawiedzani ludzie osiągają etap, gdy albo uda im się przegnać duchy, albo też duchy ich niszczą. Co jeszcze gorsze, próby wywleczenia duchów i zamknięcia ich gdzieś, gdzie nie mogą nas już ranić, zwykle się nie udają. Myślę, że w ten sposób jedynie je rozpowszechniamy. Tworzymy kopie, przekazujemy mikroskopijną cząstkę zjawy, ale większość z nich pozostaje wkopana w nasz

umysł tak głęboko, że nie da się ich usunąć.

Rosemary nigdy nie próbowała nauczyć mnie wierzyć w Boga bądź grzechy, niebo i piekło, a moje własne doświadczenia nie poprowadziły mnie tą drogą. Nie sędzę, bym wierzyła nawet w duszę. Ale to nie ma znaczenia. Bo wierzę w duchy. Naprawdę, naprawdę, naprawdę wierzę w duchy, jak powiedziała by Tchorzliwy Lew. Jasne, jestem wariatką i muszę łykać pigułki, na które mnie nie stać, by uniknąć szpitala, ale nadal wszędzie gdzie spojrzę, kiedy patrzę, widuję duchy, bo gdy raz zacznie się je widzieć, to już przepadło. Najgorsze jest jednak to, że kiedy przypadkiem bądź celowo zaczynamy je dostrzegać, dokonujemy przeskoku myślowego, który pozwala je nam rozpoznawać, a wówczas i one zaczynają nas widzieć. Patrzymy na obraz wiszący na ścianie i nagle on wydaje nam się oknem. Tak bardzo przypomina okno, że jedenastolatka próbuje sięgnąć przez niego na drugą stronę. Ale okna mają pewną niefortunna cechę: większość z nich działa w obie strony. Pozwalają nam wyglądać, ale też pozwalają wszystkiemu, co przechodzi obok, zaglądać do środka.

Trochę się jednak zapędziłam. Co oznacza, że muszę się zatrzymać i cofnąć, odkładając na bok całe to liryczne gładzenie o memach, duchach i oknach, przynajmniej na razie. Muszę wrócić do owej lipcowej nocy, gdy jechałam wzdłuż rzeki Blackstone, niedaleko miejsca, które natchnęło Saltonstalla do namalowania „Tonącej dziewczyny”. Do nocy, kiedy spotkałam syrenę nazywającą się Eva Canning. Ale też do innej nocy, śnieżnej listopadowej nocy w Connecticut, gdy jechałam przez las wąską asfaltową szosą i natknęłam się na dziewczynę, będącą tak naprawdę wilkiem i być może tym samym duchem, co Eva Canning, dziewczynę, która natchnęła innego artystę, innego nieboszczyka, niejakiego Alberta Perrault, by spróbował uchwycić jej podobiznę w swym dziele.

A gdy wcześniej wspomniałam o dziewczynie, która znosi wszystkie moje dziwaczne schizy... To było kłamstwo, bo opuściła mnie niedługo po tym, gdy zjawiała się Eva Canning. Ponieważ w końcu schizy stały się zbyt odleciane. Nie winię jej za to, że mnie rzuciła, choć za nią tęsknię i bardzo chciałabym, by ze mną była. Właściwie jednak chodzi o to, że to było kłamstwo: tylko udawałam, że wciąż jest ze mną. A jak mówiłam, pisanie tego wszystkiego nie ma najmniejszego sensu, jeśli zdołam pomieścić tu tylko kłamstwa.

Zatem muszę się pilnować.

I starannie dobierać słowa.

W istocie uświadamiam sobie, że bardzo szybko i niespodziewanie odkrywam, że próbuję opowiedzieć samej sobie historię w języku, który muszę po drodze wynajdować. Jeśli będę leniwa i za bardzo się skupię na tym, jak ktoś inny – ktokolwiek inny – by ją opowiedział, efekt okaże się idiotyczny. Na sam widok i dźwięk będę przerażona, zawstydzona. Albo też przerażona i zawstydzona, i wtedy się poddam. Schowam ten maszynopis w nieużywanej walizce pod łóżkiem i nigdy nie dotrę do miejsca, które arbitralnie miałyby okazać się końcem. Nie, nawet nie końcem,

lecz ostatnią stroną, którą zapiszę, nim przestanę opowiadać tę historię.

Muszę uważać, tak jak powiedziała Rosemary. Muszę przerwać i cofnąć się o krok.
